

Powrót barbarzyństwa

13 lipca 2016

Polaryzacja sceny politycznej, fala mowy nienawiści, brutalizacja języka i pogarda wobec polityków, kreują toksyczną debatę publiczną, która wraz z postępującą prekaryzacją społeczeństwa tworzy przestrzeń dla przemocy. To poważny problem nie tylko w Wielkiej Brytanii.

Zabójstwo posłanki Partii Pracy Jo Cox wstrząsnęło Wielką Brytanią. Działaczka lewicy zginęła z rąk prawicowego fanatyka. To pierwsze od dekad morderstwo na Wyspach, motywowane politycznie. Szok był tak duży, że na pewien czas została wstrzymana kampania referendalna w sprawie członkostwa Zjednoczonego Królestwa w Unii. Kiedy emocje nieco opadły, pojawiły się pierwsze refleksje. Moralną winą obarczono zwolenników Brexitu, którzy w ostatnich miesiącach wygenerowali potężne napięcie społeczne i zatruli debatę publiczną. Jak słusznie w swoim emocjonalnym felietonie w „Guardianie” napisała Polly Toynbee, morderstwa Jo Cox nie można rozpatrywać w oderwaniu od kontekstu.

„Pogardzanie klasą polityczną, nieufność i dehumanizacja funkcjonariuszy publicznych” są nieprzerwaną narracją dominującą w prasie brukowej i mocno rezonują na społeczeństwo. Politycy stali się workami do bicia dla mediów i dla wyborców. „Polityk” to niemal inwektywa. Wygrazanie pięścią przy oglądaniu wiadomości w domowym zaciszu przeniosło się na serwisy społecznościowe i stało się tak powszechne, że nikt nie zwraca na to uwagi.

Jednak nie w dehumanizacji i dyskredytacji polityków tkwi największy problem. Jo Cox nie jest ofiarą społecznej pogardy, nakierowanej na klasę polityczną. Ani ataku na elity i ekspertów dokonanego przez obóz zwolenników Brexitu. A przynajmniej nie tylko tego. Bo, żeby doszło do tragicznego rozlewu krwi, muszą zaistnieć jeszcze inne okoliczności.

BRUTALNOŚĆ ŁAGODZI OBYCZAJE

„Wszyscy politycy są tacy sami”, „chcą się tylko nachapać”, „złodzieje i mafiozi”, „banda nierobów”, „głupi nieudacznicy”, „aferzyści”, „cwaniacy i idiotki” – to typowe stwierdzenia wygłaszane przy różnych, najzwyklejszych okazjach. Mowa nienawiści wobec funkcjonariuszy publicznych wydaje się czymś normalnym i naturalnym w przestrzeni rodzinno-sąsiedzko-koleżeńskej. Skraca dystans między znajomymi. Pozwala na uniknięcie sporu, albo na obniżenie temperatury debaty przy imieninowym stole, bo skoro „wszystcy politycy to złodzieje”, różnice zdań między nami nie mają znaczenia. Paradoksalnie w przestrzeni prywatnej brutalność języka wobec klasy politycznej łagodzi napięcie między politycznymi adwersarzami. Tak jak narzekanie na pogodę, tak psioczenie na polityków jednoczy. Albo pozwala na zmianę tematu konwersacji. Co nie znaczy, że powszechne przeświadczenie o degrengoladzie klasy politycznej ma pozytywne skutki.

Jeśli mówimy, że „politycy są głupi i bezwartościowi”, żeby uniknąć kłótni przy rodzinnym obiedzie, to wszystko w porządku. Jeśli faktycznie tak uważamy, to psujemy demokrację. Bo takie rozumowanie prowadzi do błędnego przeświadczenia, że wszyscy politycy są tak samo źli. A to nieprawda. Owszem, często widzimy karierowiczów, którzy działalność parlamentarną traktują jako trampolinę do obecności medialnej, która karmi ich ego, ale większość polityków, bez względu na partyjne barwy, to osoby kompetentne, miłe, inteligentne, pełne ideałów i chęci do działania, żeby polepszyć życie innym. Tak jak Jo Cox. Jednak rosnąca niechęć do klasy politycznej skutkuje wycofaniem społeczeństwa do sfery prywatnej – czyli brakiem uczestnictwa w wyborach, niezapisywaniem się do partii, stowarzyszeń czy związków zawodowych, a także – co jeszcze bardziej niebezpieczne – do unikania polityki w mediach. Tworzy to zamknięty krąg. Polityczne kompetencje społeczeństwa stopniowo się obniżają, zaniżając tym samym jakość debaty publicznej i próg wejścia dla polityków. Bo partie nie

konkurują ze sobą w sferze idei i kompetencji, lecz stawiają na politainment – połączenie rozrywki z powierzchowną polityką. Celebrytyzację i komercjalizację komunikacji politycznej, żeby jakoś zainteresować polityką niezainteresowanych nią ludzi. A na tym polu największe sukcesy odnoszą populiści, którzy żywią się brutalizacją życia społecznego i banalizacją polityki.

RÓWNANIE W DÓŁ

Wejście politycznych szarlatanów do głównego nurtu nakręca spiralę politainmentu. Gorsza jakość polityki, politycznych analiz i informacji, odstrasza kolejnych kompetentnych czy wyrobionych politycznie wyborców i przyciąga ludzi, którzy nie zdają sobie sprawy ze złożoności świata, problemów, prawa czy procedur. Do tego jeszcze zmuszają racjonalnych, poważnych polityków do grania w parterze i kreowania emocji zamiast poważnych debat. I tak kilka lat temu David Cameron, „zmuszony” przez rosnącego w siłę Nigela Farage’a, zaczął grać antyemigracyjną i antyunijną kartą, a dziś ma problem z wyrosłą hydrą ksenofobii. Boris Johnson, który jeszcze jako burmistrz liberalnego Londynu, mówił o tym, że należy wprowadzić amnestię dla nielegalnych imigrantów, żeby „ludzie nie żyli w ciągłym strachu w podziemiu”, dziś używa antyemigracyjnej retoryki do zdobycia fotela premiera.

Największe niebezpieczeństwo w postępującej tabloizacji polityki polega jednak na tym, że opiera się ona na kreowaniu społecznego i politycznego napięcia. Jeśli dojdą do tego jeszcze napięcia ekonomiczne i systemowe w przestrzeni debaty publicznej, pojawia się przepaść obcości, nieufności i wrogości, którą w politologii nazywa się polaryzacją. Polaryzacja oznacza m.in. kwestionowanie wszystkiego, co po drugiej stronie, i usprawiedliwianie wszystkiego, co po własnej. A od tego już tylko krok do barbarzyństwa. Co prawda uznany amerykański socjolog Jeffrey C. Alexander uważa, że debata polityczna zawsze jest spolaryzowana i polega na nieustannej konfrontacji my–oni, a cała sztuka polega na tym,

żeby konkretną polityczną agendę, konkretne cele, wpisać w nurt dominujących w komunikacji publicznej narracji, to jednak w pewnym momencie normalne i naturalne antagonizmy polityczne mogą wyrwać się spod kontroli. Ludzie zamiast się ze sobą grzecznie spierać, zaczynają się wyzywać, nienawidzić, dehumanizować i wykluczać ze wspólnoty.

ZDZICZENIE ŚWIATA

To nie tylko Wielka Brytania. Cały Zachód się dziś z nawrotem dzikości zmaga i boi się jej panicznie. Ale nie umie stworzyć mechanizmów, które by ją skutecznie zatrzymały i zapędziły do nisz, w których siedziała 70 lat. To nie przypadek, że do końca lat 1980. nigdzie na Zachodzie kwestionowane dziś powszechnie, wynikające z ludzkiej życzliwości, tolerancyjne, grzecznościowe, uprzejmościowe normy otwartych społeczeństw, nie budziły w krajach rozwiniętych zasadniczego sprzeciwu żadnej istotnej części wyborców. Jednak przez dwie ostatnie dekady wzrostowi rozwarstwienia towarzyszyła prywatyzacja ryzyka życiowego. Od coraz bardziej niepewnych i zróżnicowanych dochodów coraz większych grup ludzi, w coraz większym stopniu zależał dostęp do edukacji, służby zdrowia, kultury, usług komunalnych. Temu zjawisku, przez Guya Standinga nazwanemu prekaryzacją, towarzyszył wzrost społecznego napięcia, które w polityce przejawiało się inwazją populizmu, a w życiu społecznym rosnącą falą mowy nienawiści.

Nieprzypadkowo populizm i brutalny język, odrzucające nie tylko polityczną, ale i racjonalną poprawność, rosną w krajach Zachodu proporcjonalnie do lokalnego poziomu prekaryzacji. Ze zdziczeniem języka próbowano walczyć. Jednak problem w tym, że zamiast leczyć chorobę niepoprawności zmianą ekonomicznych paradygmatów, zaaplikowano społeczeństwu leczenie objawowe. Walka z populizmem i mową nienawiści – polegająca na wykluczaniu, karaniu, zawstydzaniu – dokłada do ognia wściekłości, gdyż pogłębia poczucie krzywdy, poniżenia, obcości i żalu, wyrażane przez wrogość wobec elit i wobec ładu oraz wartości, które one symbolizują. Od liberalnej

demokracji, poprzez otwartość wobec mniejszości, a na politycznej poprawności kończąc. Decydując się na leczenie objawowe, elity ulegały złudzeniu, iż rozwiązują problem. Ale tak naprawdę go pogłębiały. Wykluczanie i krytykowanie wielu grup społecznych, które przez globalizację i neoliberalny projekt ekonomiczny utraciły pewność i bezpieczeństwo, doprowadziło do dzisiejszych społecznych, politycznych i systemowych napięć. Ludzie są wściekli, agresywni i źli. Jo Cox jest pierwszą ofiarą powrotu barbarzyństwa. Jeśli Wielka Brytania i cały Zachód nie przywróci równowagi ekonomicznej, politycznej i społecznej, będą kolejne.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: Cooltura.co.uk